

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Królowa piękności albo stara panna z pogrzebaczem

Dwa głody miłości

Dwie tęsknoty, dwa pragnienia, w końcu dwa wielkie, niezaspokojone, niemożliwe do zaspokojenia głody miłości. Stara, niedołączna, złośliwa matka i jej córka, stara panna, niezrównoważona emocjonalnie, nękana neurastenią. Psychodrama ludzkiej rozpacz i przerażające studium samotności, pomieszczenie z łaknięciem uczucia. Nuda samotności, dwóch samotności pod jednym dachem, która przeobraża się w nienawiść, w dwie nienawiści pod wspólnym niebem.

„Dwa zła nie czynią jednego dobra”, mówi zanotowane przez Jamesa Joyce’a w *Ulyssesie* stare, irlandzkie porzekadło, jedno z praw życia, wyprowadzonych z międzyludzkiego doświadczenia. Dwa zła czynią zło większe od jednego zła – brzmi podszywający to prawo pozorny banał – albo trzymają się w szachu. W *Królowej piękności z Lecnan* Martina McDonagha (prapremiera 1996), młodego irlandzkiego dramaturga z Londynu (rocznik 1970) – dwa głody miłości są na tyle dojmujące i tak niemożliwe do zaspokojenia, że czynią z matki i córki dwa szukające uczucia głodomory. Gotowe na wszystko, zachłanne potwory, namiętne w nienawiści. Bo to nienawiść właśnie jako rezultat niespełnionej czy odrzuconej miłości okazuje się siłą sprawczą konsekwentnej, nieustępliwej, morderczej gry o przetrwanie własnego „ja”. Albo jedno „ja” zniszczy drugie, albo upiorna walka na śmierć i życie nigdy się nie skończy.

Smutny spektakl o ludzkiej rozpaczliwej samotności, która przeradza się w egoizm i nienawiść, opowieść o Mag Folan i jej córce Maureen – to pełna gorzkości rzecz o walce o uczucia, która zmienia się w potworny dramat. To jednak, co

pod piórem Williama Shakespeare’a przeniesione do komnat Elsynoru czy innego z jego królewskich zamków wstrząsnęłoby niebem i ziemią – w świecie McDonagha niczego nie zmienia. Człowiek jest jaki jest, a życie popycha go do czynienia zła, które rzadko bywa patetycznym stanem naszej wzburzonej psychiki i odwetem zranionej godności. Zło jest codzienne, banalne, zwyczajne, gdyż rodzi się wprost z naszych matych, wstydliwych, głupich, codziennych upokorzeń, niemożności, ograniczeń. W eseju *O kanibalach* Michel de Montaigne zalicza okrucieństwo, zdradę, nienawiść do „zwyczajnych przywar” rodzaju ludzkiego. Dlatego jak mieszkańcy Lecnan, możemy sobie pisać na kuchennych makatkach: „Żebyś znalazł się w niebie pół godziny wcześniej, nim diabeł dowie się, że umarłeś”. Albo powtarzać za najstydniejszym Irlandczykiem XX wieku, Jamesem Joyce’em: „Najgorsi nieprzyjaciele człowieka są w jego domu i w rodzinie”.

Nasze małe, wstydlawe, brudne sprawy

Samotność staropanieństwa i samotność starości są nudne, a domowa nienawiść ma coś ze śmieszności. Tak bywa, gdy człowiecza dola, los, przeznaczenie, fatum łączą się i przenikają z życiem przydennym, zduszonym, sprowadzonym do poziomu daremnej, bezsensownej wegetacji. Wtedy od poczucia absurdu wybawiają już tylko marzenia. O wyrwaniu się z fatum, o buncie, o wzlocie, które w *Królowej piękności z Lecnan* konkretyzują się w nadziejach na spotkanie wielkiej miłości albo na życie w Londynie czy Bostonie. Nowa, inna egzystencja może się także zacząć od zerwania zakłętęgo układu, życiowego potrzasku, gdzie niedołączna matka rzekomo skazana jest na opiekę córki, a starzejąca się w panieństwie córka niewolona jest przez matkę niezależnie od faktu, czy schlebia jej „ulubionymi landrynkami” czy udręcza



Najgorsi

nieprzyjaciele człowieka
są w jego domu
i w rodzinie

ją „okropnymi sucharkami”. Marzenia spotykają się tedy z możliwościami: wyjść za mąż, oddać matkę do domu starców (Maureen) – nie dać się ruszyć z domu, szantażem uczuć uprawić córkę w pokorę, złamać jej niezależność, uniemożliwić szanse na małżeństwo czy wyjazd do innego miasta (Mag). To są właśnie owe małe, wstydliwe, brudne sprawy i myśli między ludźmi, banalne źródła zła, które dzień w dzień cicho i leniwie biją w tysiącach, a pewnie i milionach ludzkich domów. Swarliwi małżonkowie, wyrodne dzieci, złośliwi starcy, małżeńskie zdrady, alkoholizm, pasożytność na bliskich, niesprawiedliwy podział domowych ról, choroba, niedostatek, bezrobocie, dyktatura ojców, poniżenie kobiet, *machismo* domowych samców. Już klasycy wiedzieli, że w kręgu podobnych małych, ludzkich, wstydliwych spraw leży materiał dramatu, całe kopalniane pokłady największej literatury, do których sięgali Homer, Shakespeare, Dostojewski, Ibsen, Gombrowicz.

Inaczej Martin McDonagh, debiutujący w 1996 roku wielbiciel telewizyjnych „mydlanych oper” i kina przemocy od *Taksówkarza* po filmy Johna Woo i Quentina Tarantino, autor „leenańskiej” trylogii, *Królowej piękności* z *Leenane* (*The Beauty Queen of Leenane*), *Czaszki z Connemary* (*A Skull in Connemara*) i *Samotnego zachodu* (*The Lonesome West*). Ten głośny, urodzony w Londynie, zbuntowany Irlandczyk, ktoś niby skrzyżowanie naszych Andrzeja Bursy (*Zabicie ciotki*) z Markiem Hłasko (*Cmentarze*) – inaczej niż klasycy nie szuka symbolu, metafory. Pełną garścią czerpie z pokładów, bez których nie obywa się największa literatura, sięga do kręgu naszych małych, ludzkich, wstydliwych spraw, lecz nie przetwarza wielce surowca, ukazując go nam jak samorodny kruszec. W efekcie banalny, domowy ludzki świat, podniesiony przez dramaturgów o doskonałym słuchu, przekuty w sprawne dialogi, po mistrzowsku rodzajowy i rozwijający się w czasie od jednego zaskakującego obrotu akcji

do następnego – nabiera walorów opowieści, a nawet bajki, nie tracąc nic ze swego surowego, ponurego, autentycznego klimatu.

„Ciemność pozwala wyzwolić blask serca” – powiada McDonagh, a nasze ciemne sprawy wydają się na jej tle bardziej zwyczajnymi i lepiej umotywowanymi. Koszmar, groza, mrok, przemoc, zbrodnia wynikają z koszmarniej, tajemniczej, mrocznej rzeczywistości i wracają do niej, rozpluwają się w niej bez śladu jak we mgłę. Rzeczywistość przedstawioną w dramatach, a wcześniej w młodzieńczych opowiadaniach McDonagha – porównywano do świata z bajek braci Grimm. Opowieść o tym świecie pozbawiona jest literackich upiększeń, nie epatuje słuchacza i nie jest wolna od humoru, często soczystego i dosadnego, który pobudza nasze współodczuwanie z bohaterami i chyba nawet wyrozumiałość – lecz nie zgodę – dla ich uczynków, wyborów i wartości.


Irlandia jako duchowa forma życia

Rzeczywistość przedstawiona w dramatach McDonagha, poza walorem uniwersalnym, bardzo mocno charakteryzowana jest przez walor lokalny, który można opisać tylko jednym pojęciem: Irlandia. McDonagh, podezytujący początkowo sztuki Mameta i Pintera, anglosaskich współczesnych klasyków, nie pozostających bez wpływu na jego wczesny dramat *The Pillowman* (*Człowiek poducha*) – szukał prawdy i autentyzmu, czyli również oryginalności swojej wychodzącej od rodzajowego konkretnego wyobraźni, i znalazł je w rzeczywistości Irlandii, zrozumianej jako duchowa forma życia.

W szkicu *Martin McDonagh: od Synge’a do Tarantina* Małgorzata Szum („Dialog” 1998, nr 5) zwraca uwagę na dwa jednocześnie sposoby i style podszycia świata przedstawionego autora *Królowej piękności z Lcenane* współczesną, rdzenną, prowincjonalną, a więc także prastarą, celtycką, ponad-

czasową Irlandią: rodzajowy i językowy. McDonagh ukazuje „obraz większego społeczeństwa, zanurzonego w nudnej, beznadziejnej codzienności, którą mieszkańcy urozmaicają sobie końskimi dawkami samogonowej *whisky*, krwawymi bójkami lub sąsiedzkimi plotkami. Zdaje się, że w tym nieskomplikowanym, prowincjonalnym świecie, wśród zwyczajnych, prostych ludzi trudno znaleźć temat na dramat. A jednak aż roi się tu od nieszczęść, tragedii, przestępstw i morderstw. (...) Najprostsze sytuacje, przy irlandzkim temperamentie i specyficznej «chłopskiej» logice, obracają się w tragedię niemal przypadkiem”. Ale McDonagh odkrył Irlandię trochę tak, jak molirowski pan Jourdain, który dowiedział się, że mówi prozą. Przypomniał sobie, jak mówią jego krewni w Galway, na zachodnim wybrzeżu Zielonej Wyspy, i jak powiada irlandzki krytyk, Fintan O’Toole: „odkrywając ten kraj, odnalazł swój własny głos”. „Bardzo ubogie słownictwo postaci, ciągłe przekleństwa (mało urozmaicone), emocjonalny sposób wyrażania, śmieszne nawyki językowe polegające na powtórzeniach całych fraz, inna melodia języka (wskutek odwróconej składni), zabawne błędy słowne – pisze Małgorzata Szum – wszystko to buduje strukturę, która porywa swoim autentyzmem. Powściągliwy, niemal lakoniczny styl pisania stwarza własną wewnętrzną logikę”.

Irlandia jako duchowa forma życia we współczesnej dramaturgii irlandzkiej pojawia się najczęściej jako przeciwieństwo Anglii. Gorące, przeważnie polityczne relacje z Wielką Brytanią dominują w sztukach autorów z Dublina a nawet z Belfastu, za wyjątkiem sztuk Briana Fielca i Billy’ego Roche’a. Na tym tle McDonagh jest wyjątkiem jako pisarz, który nie podejmuje także tradycyjnego w literaturze irlandzkiej rozprawiania się z własnym dziedzictwem kulturowym, cywilizacyjnym i psychicznym: arcyrlandzka antyrlandzkość czytelna jest przecie nie tylko u Jamesa Joyce’a, także u Williama Butlera



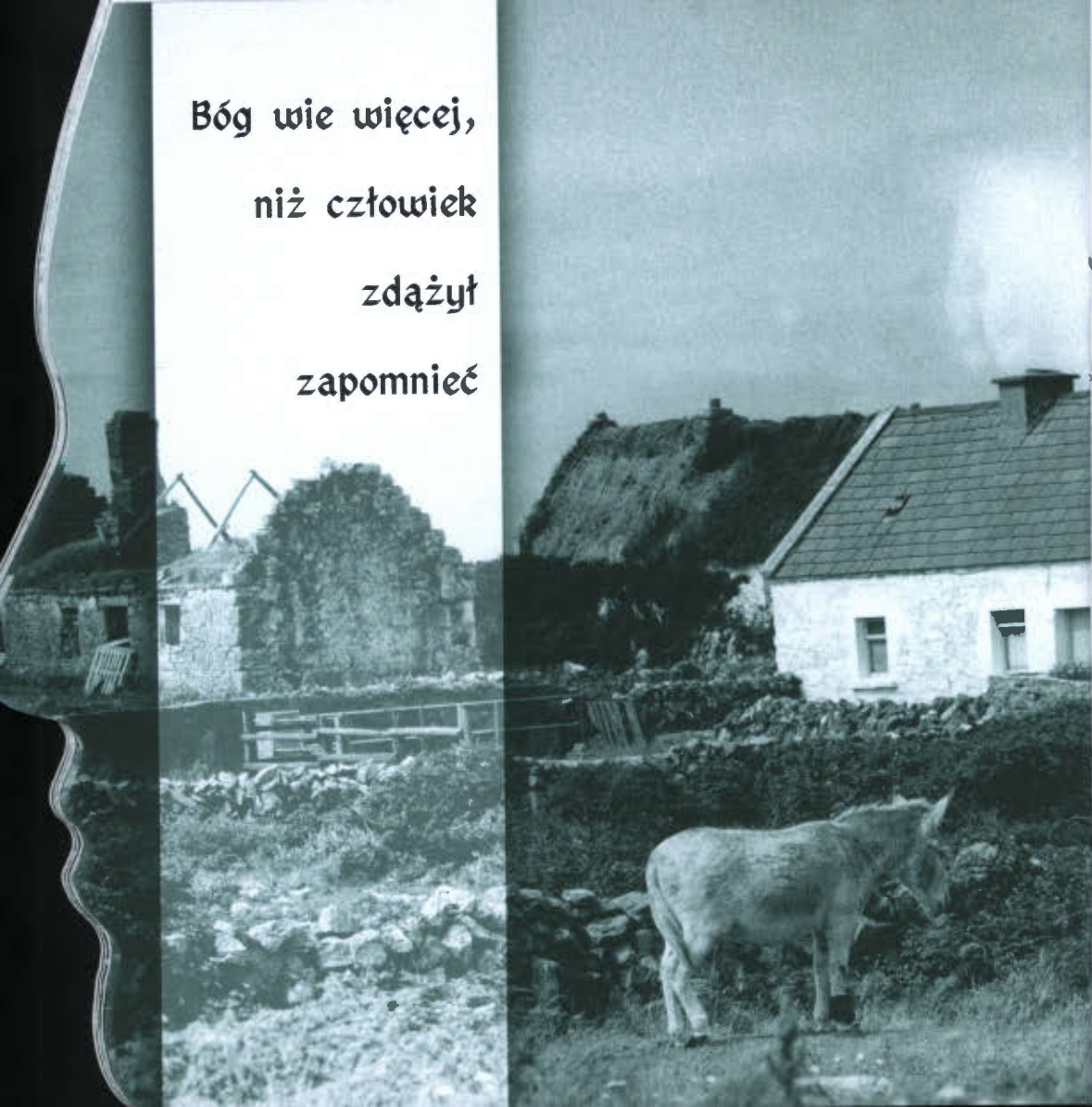
Dymy torfowisk
uderzają czasem
do głowy

Yeatsa i innego wielkiego Irlandczyka, Samuela Becketta. Autor również drugiej ze swoich trylogii, *Porucznika z Inishmore* (*The Lieutenant of Inishmore*), *Sądnego dnia w Coney* (*Dead Day at Coney*) i *Kaleki z Inishmaan* (*The Cripple of Inishmaan*) nie ma najmniejszego nawet zamiaru dołączać do skądinąd przeświatnego klubu heretyków, zdrajców i bluźnierców, wystawiających swej ojczyźnie świadectwa zabobonu, alkoholizmu, zacofania, prowincjonalizmu i zaprzepaszczenia dziedzictwa przodków, którzy pragnęli zostawić pokoleniom w spadku legendę i metafizykę Zielonej Wyspy. Irlandia jako duchowa forma życia jest dla McDonagha problemem głęboko ukrytym, bardziej jeszcze, niż dzieje się to w twórczości Seamusa Heaney'a, autora poematów o ludziach z bagien: zrozumienie, sympatia, ciepły stosunek pisarza do irlandzkiej prowincji przeważa mimo wszystko nad osądem i potępieniem. Irlandzkie bagna i torfowiska, podniesione przez Heaney'a do rangi symbolu Zielonej Wyspy i metafory sprawianego przez Irlandię jako duchową formę życia kłopotu – podobnie jak cmentarz w *Królowej piękności z Leenane* i z *Czaszki z Connemary* McDonagha pełne są nieboszczyków, z których niewielu tylko udało się umrzeć śmiercią naturalną. Wielowiekowe sąsiedztwo, monotonia codzienności, nuda prowincji, irlandzka zadzierzystość sprawiają, że te wszystkie hrabstwa, miasteczka, wsie i osady, Leenane, Connemara, Inishmore, Coney, Inishmaan, że cały ten „samotny zachód” Zielonej Wyspy, rdzenna, prowincjonalna Irlandia – okazuje się w swej lokalności wielką, uniwersalną metaforą ludzkiego domu, rodziny, naszych małych, wstydliwych, głupich spraw.

Pół godziny nieba

W domu Mag Folan i jej córki Maureen pojawiają się przybysze, bracia Pato i Ray Dooley. Może Pato, irlandzki prowincjusz pracujący w Londynie i planujący

Bóg wie więcej,
niż człowiek
zdążył
zapomnieć



osiedlenie się w amerykańskim Bostonie, wyrwie Maureen z osaczenia, z domu, z Irlandii? W *Królowej piękności* z *Leenane* jak w antycznej tragedii przybysz uwydatnia pełnię dramatycznego węzła, nierozwiązywalnego jak zaklęty krąg problemu, dynamizuje akcję i przyspiesza nieuchronne wydarzenia. Gdyby nie on, może Maureen nie rozbiłaby pogrzebaczem czaszki swojej uciążliwej, złośliwej matki, w każdym razie – nie teraz? Pato przybywa przecie jako „ten trzeci”, dla Maureen uosobienie nadziei, dla Mag upostaciowanie najwyższego, bo egzystencjalnego, biologicznego zagrożenia: małżeństwo Maureen z Pato jest jej jedyną szansą, która dla Mag oznacza klęskę.

Nie ma powodów przypuszczać, że gra Mag i Maureen jest jakimś symbolem gry Wielkiej Brytanii z Irlandią: to nie dom pań Folan jest metaforą Irlandii, tylko Irlandia jest symbolem ludzkiego na dobre i złe, ale raczej na złe, domu. Jednak poza wszystkim bracia Dooley wciąż mówią o Irlandii, wciąż szukają Irlandii jako duchowej formy życia i znajdując ją jaką jest, co chwila zastanawiają się nad możliwością dołączenia do światowej irlandzkiej diaspory w Wielkiej Brytanii czy Ameryce. Ray Dooley: „Jak się chce oglądać Irlandię, można sobie wyjrzeć przez okno. I zanudzić się na śmierć. «Krowa idzie». Mnie to nudzi. Wszystko mnie nudzi. Może pojedę do Londynu”. Pato Dooley: „I kiedy jestem tam, w Londynie i pracuję w deszczu, albo śpię na cuchnącym szczyną materacu w jednym pokoju z gówniarzami, którzy klną, piją i rzną w karty... to wtedy marzę, żeby być tutaj. Jak mogłoby być inaczej? Ale gdy jestem tutaj... to nie to, że chciałbym być tam, nie! Ale też wcale nie tutaj chcę być...”

Nie są to rozmyślania o podłożu socjalnym, czy psychologicznym tylko i wiadomo, że bracia Dooley mówią o rozterce wyboru pomiędzy niedogodną teraźniejszością a niewiadomą przyszłością. Kiedy Ray mówi o irlandzkim

Każdy fenomen ma naturalne przyczyny

Ci, którzy
chowają,
wiedzą,
gdzie
odnaleźć

futbolu, a Pato o swej londyńskiej tęsknocie – wiadomo, że obcość przegrywa ze swojskością, cudzość ustępuje miejsca Irlandii jako duchowej formie życia. I niełatwo powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Mimo całego zła, przerażenia, grozy, zbrodni, absurdu, których w „leonańskiej” trylogii nie wytrzymają, nie będą w stanie znieść obaj stróże ładu i sumienia, ginący samobójczo policjant Thomas Hanlon i idący w jego ślady ksiądz Roderick Welsh (*Samotny zachód*) – świat według Martina McDonagha jest sympatyczny, a jego mieszkańcy dają się lubić. Rozsiewane przez nich codzienne, zwyczajne zło nie jest celem ich działań, nie jest nawet zamierzone – ludzie wytwarzają je tak, jak pszczoły miód. Przedziwna dojrzałość i pisarski instynkt młodego irlandzkiego autora, każą mu każdej barwie życia przeciwstawić kolor przeciwny, każdej tonacji odszukać kontrapunkt, każdemu „nie” przeciwstawić „tak”. Z kontrapunktów, przeciwieństw utkana zostaje zadziwiająco naturalna materia życia, które jak prawdziwe życie nie poddaje się ocenom, wymyka definicjom, prawie wszystko czyni ambiwalentnym. Bo życie nigdy nie jest tak dobre, żeby nie mogło być lepsze i nigdy nie jest tak złe, iżby nie mogło być gorsze.

Wybaczymy, rozumiemy, współodczuwamy, śmiejemy się przez łzy i płaczemy mimo śmiechu – na widok tego, co prawdziwe, żywe, znajomo ludzkie. Mieszkańcy świata Martina McDonagha znaleźli się w niebie jakieś pół, no może półtorej godziny wcześniej, nim diabeł dowie się, że umarli.

Poznań, w kwietniu 2001 roku

Sergiusz Sterna-Wachowiak

Krzysztof Schramm

Leenane

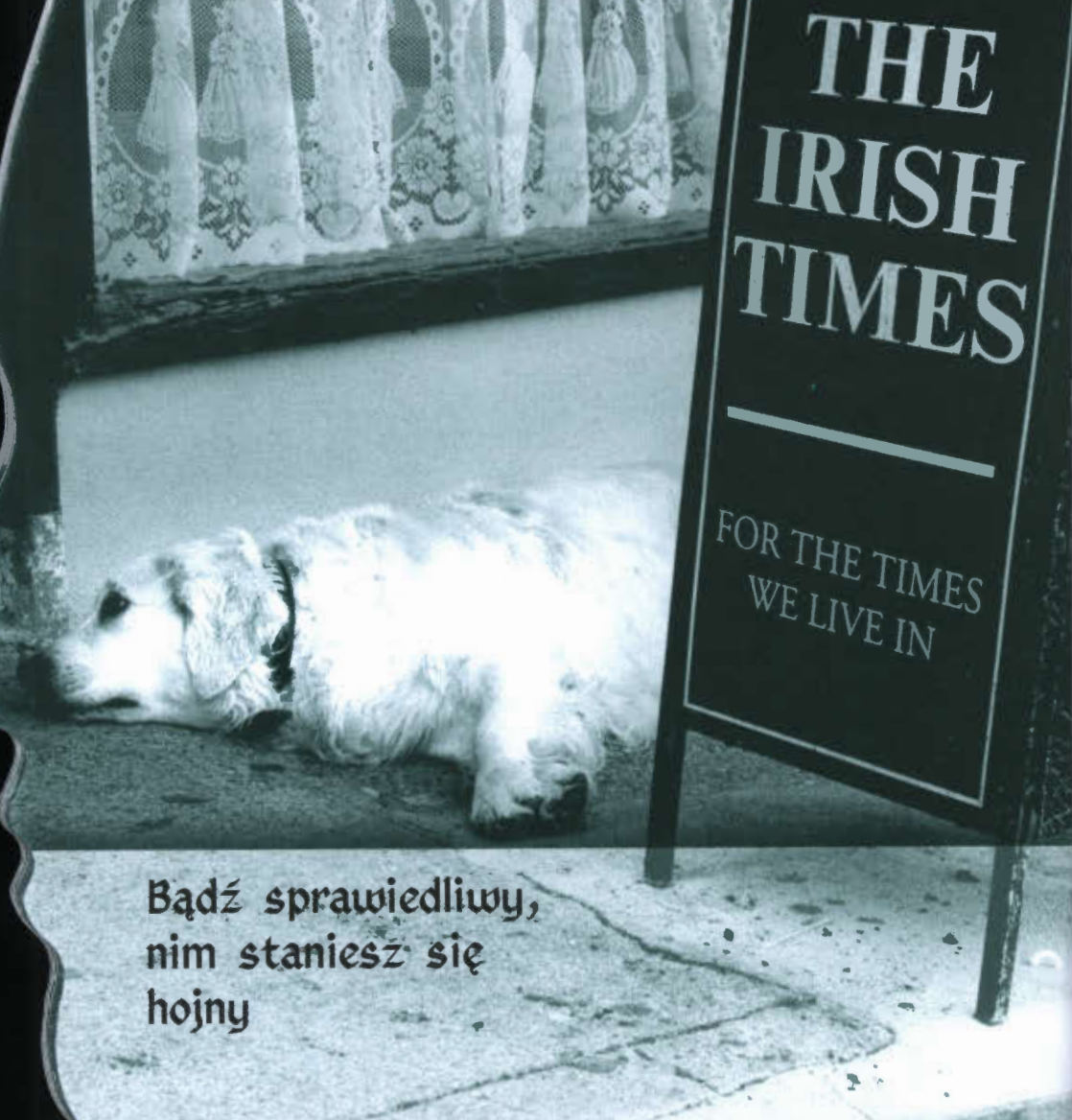
Leenane istnieje naprawdę. Leży w hrabstwie Galway w północno-zachodniej Irlandii, w krainie zwanej Connemara. Jest to mała wieś położona nad wspaniałą zatoką, wśród pięknych wzgórz, pastwisk i pól torfowych. Leenane to miejsce, gdzie wszyscy wszystkich znają, gdzie głównym źródłem utrzymania jest hodowla owiec i rybołówstwo, gdzie zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd uciec...

Irlandia i jej mieszkańcy to kraj, który fascynuje. Mroczne początki cywilizacji na Szmaragdowej Wyspie sięgają czasów celtyckich, tajemniczych obrzędów druidów, tajemnych wzorów geometrycznych, które po dziś dzień podziwiają

turyści. Celtyckie wątki stały się natchnieniem dla poetów i bardów tak w zamierzonych, jak i bliższych nam czasach. Legendy i mity celtyckie pojawiają się zarówno w utworach średniowiecznych, jak i w twórczości Yeatsa, czy Synge'a. Język irlandzki, mimo ograniczonego zasięgu, istnieje. Ta Irlandia celtycka nadal żyje.

Fascynują również mieszkańcy Zielonej Wyspy. Ludzie z natury weseli i życzliwi, znakomici śpiewacy i tancerze, ludzie o „gorących głowach i sercach”, którzy nie stronią od dobrego napitku i pozostają wierni tradycji katolickiej. Historia nigdy nie rozpieszczała Irlandczyków. Najazdy wikingów, a potem podbój wyspy i jej kolonizacja przez Anglików spowodowały zepchnięcie pierwotnych mieszkańców do roli ludzi drugiej kategorii. Zwalczana była kultura i tradycja irlandzka, podobnie i język, a mieszkańcy mieli w założeniu najeźdźców być tanią siłą roboczą. W tych właśnie dramatycznych okolicznościach ukształtował się charakter Irlandczyków. Ballady i taniec stały się znakomitym sposobem na przekazywanie opowieści i legend o chwalebnych czynach przodków, otwartość na współziomków była nakazem koniecznej wówczas solidarności – tych, którzy są gnębieni. Nieraz wreszcie Irlandczycy chwyтали za broń, chcąc zrzucić kajdany, często podejmując zupełnie beznadziejną walkę. Wreszcie znana irlandzka pobożność: Kościół był ostoją gnębianych, a jednocześnie katolicyzm był wiarą ujarzmionych, w przeciwieństwie do wiary zdobywców – protestantyzmu.

Irlandia została ostatecznie ujarzmiona przez Anglików w XVII wieku. Oliver Cromwell – dowodzący wojskami najeźdźców – szczerze nienawdził Irlandczyków, ich zwyczajów i religii. Miejsce dla Irlandczyków widział, jak sam mówił, „w piekle albo w Connacht”. Connacht to północno-zachodnia, historyczna prowincja Irlandii, w niej właśnie leży Connemara. Ziemia ta stała



**Bądź sprawiedliwy,
nim staniesz się
hojny**

się synonimem skrajnie surowych warunków bytowania. Kamieniste ziemie, strome wzgórza i torfowiska nie pozwalały prowadzić tutaj upraw. Pozostawała jedynie hodowla i to, co dało morze. Te ciężkie warunki powodowały, że często w wielodzietnych rodzinach panował głód i dzieci musiały opuszczać rodzinne strony, ruszając na wędrowkę „za chlebem” poza Irlandię. Emigracja, która przez dziesiątki lat dotykała zwłaszcza zachodnią Irlandię, osiągnęła ogromne rozmiary w wieku XIX. Wyspę opuściło wówczas ponad dwa miliony mieszkańców, a ponad milion zmarło z głodu w wyniku tak zwanej „zarazy ziemniaczanej” (Wielkiego Głodu). To właśnie w tej wyludnionej, zapomnianej przez Boga krainie leży Leenane.

Irlandia na początku XX wieku była jednym z najbardziej biednych i zacofoyanych regionów Europy. Odzyskanie niepodległości po pierwszej wojnie światowej poprawiło nieco sytuację w miastach i miasteczkach Zielonej Wyspy. Wieś jednak nadal tkwiła w poprzednim stuleciu. W wolnej Irlandii wioski, zwłaszcza w zachodniej, pięknej, a jednocześnie surowej części kraju – pustoszały. Młodzi uciekali do miast, a stamtąd ruszali na poszukiwanie swojego „Nowego Świata”. Dopiero od kilkunastu lat, gdy Irlandia stała się „Celtycznym Tygrysem” Europy, emigracja znacznie zmalała, odnotowano nawet liczne powroty do rodzinnego kraju.

Miasta irlandzkie są obecnie porównywalne z zachodnioeuropejskimi odpowiednikami, a prowincja irlandzka odkryta nową, intratną gałąź utrzymania, jaką jest turystyka.

Tak też zmieniło się i dzisiejsze Leenane.

Poznań, 5 marca 2001 roku

Krzysztof Schramm